



HISTORIA LITERATURY

ZAUROCZENIE I STRACH

Paweł BEM (Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa)

Drukowany tu po raz pierwszy esej Czesława Miłosza na temat Stanów Zjednoczonych wpisuje się w poetykę i retorykę niemałej części jego prasowych korespondencji z lat 1946–1947. Często autor tych doniesień nie zostawiał na mieszkańcach Nowego Świata suchej nitki, w kolejnych artykułach słanych do Polski zza oceanu tworzył niewybredny słownik synonimów, którymi określał amerykańskiego obywatela — na łamach „Odrodzenia” w 1947 roku pisał np.:

Żywe automaty, śmiejące się, pracujące, rozmnażające się, żywe lalki z mózgiem doszczętnie zmitologizowanym, zaiste plemię ery maszynowej, w której są i psy, i kury, i złoci się kukurydza, i spędza się leniwie popołudnia na ganku wiejskiego domu, nie biorąc do ręki słowa drukowanego, chyba detektywną powieść¹.

W wielu tekstach publicystycznych poety z tego okresu znajdziemy podobne oceny, usłyszymy te same tony pretensji. Miłosz śmiało uogólnia, z wyższością opisuje „życie fizjologiczne” konsumpcjonistów (doskonale przy tym zdając sobie sprawę, że naskórkowy ogląd bywa bałamutny: „trudno sądzić o tym, co się odbywa pod powierzchnią”²). Tym razem jednak wychodzi poza krytykę konsekwencji bezdusznego kapitalizmu i patologii życia jednostek poddanych wymogom rynku. Daje do zrozumienia, że odpowiedzialna za bulwersujący go stan rzeczy jest przede wszystkim historyczna fortuna, która oszczędzając Ameryce traumy, pozbawiła ją tym samym niezbędnej dla

¹ J.M. Nowak [C. Miłosz], *Życie w USA. Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia”*, *Odrodzenie* 1947 nr 48, s. 1.

² Tegoż, *Życie w USA. Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia”*, *Odrodzenie* 1947 nr 11, s. 5.

cywilizacyjnego rozwoju „zaprawy nieszczęścia”. „Nieszczęście jest europejskim przywilejem”³, „nasza zgnilizna jest naszym zdrowiem”. Ludziom niezdolnym do wielkich wzruszeń Miłosz odmawia człowieczeństwa: to otępiąle wewnątrz kukły, chochoły. Przyczyną umysłowej apatii i postępującego zidiocenia jest życie nieznające rozpacz. W Europie rozpacz jest leczniczym narkotykiem utrzymującym przy zdrowiu całą zachodnią cywilizację. Nie ma ona nic wspólnego – stwierdzi Miłosz kategorycznie w roku 1948 — z cywilizacją amerykańską: techniczną, całkowicie nową, zgoła odmienną, na swoją zgubę wolną od przywiązania do łoż.

Stara i doświadczona Europa uczy cynizmu, który staje się narzędziem ocalenia. Cierpienie zaszczepiło w Europejczyku także moralny imperatyw odrzucenia konwensu w obawie przed tym, że zabraknie czasu na powrót do spraw fundamentalnych. Tych dwóch cech purytańska i umocowana w obrządkach zdawkowości Ameryka boi się i nie pojmuje: jak przeniknąć obłąkaną do reszty Europę, która jak gdyby nigdy nie „wychyla głowę z uśmiechem z czeluści wulkanu”? Aby jakkolwiek zrozumieć europejski ekscentryzm, Ameryka tworzy wyobrażenia skrajnie uproszczone, pozbawione niuansów. To być może najcięższy z zarzutów Miłosza wobec Amerykanów: jako człowiek z komunistycznej Europy apeluje o to, aby do wizji jego kontynentu — wizji, która sprowadza się do falującej energicznie czerwonej flagi z sierpem i młotem — wprowadzili chociaż rozróżnienie odcieni czerwoności.

Niepokój, który budzi Europa, jest elementem jej pociągającego uroku. Czyż jednak nie te same uczucia towarzyszyły polskiemu poecie, kiedy zdumiały spoglądał na harujących Amerykanów, godzinami słuchających po pracy radia „tępiącego władze umysłu”? Zauroczenie i strach. Kraj „skłonny żyć poza miłością i nienawiścią, bez silnych wzruszeń” traktował europejskiego intelektualistę protekcjonalnie, zajęty był doglądaniem konkurencyjności, która rozwijała potęgę i pozwalała wyznaczyć etos. Miłosz, zafascynowany i przerażony, broniąc się przed pochłonięciem, budował swój pancierz z arogancji. Ale nie zapomniał o autoironii, kontrolował pobieżność własnych ocen.

Rozmyślenia poety dotyczą kraju, w którym się znalazł, świata, z którego pochodził, ale w najwyższym być może stopniu są świadectwem szoku przybyścia, jego własnych kompleksów, lęków, wyobrażeń i przewidywań. Dziś warto myśleć o trafności tych ostatnich. „Zważmy, że ten tutaj gatunek ludzi może być zapowiedzią przyszłości całego ludzkiego rodzaju” — czy prognoza sprzed ponad pół wieku była zasadna? Jeżeli tak, to czy nadal jest ona obrazem przyszłości czy już teraźniejszością? Jej spełnienie oznaczałoby koniec Europy.

³ C. Miłosz, *Notatnik*, Nowiny Literackie 1948 nr 8, s. 1.

ROZMYŚLANIA W HOTELOWYM HALLU*

Czesław MIŁOSZ

Jest miękko, puszyste dywany pod nogami przechodzących, jakieś plamy, szkła, lampy ozdobne, reprodukcje Tycjana i Breughla, wyżej marmur, neonowe światło z sufitu. Dienne światło zza szklanych drzwi przedsionka miesza się ze światłem sztucznym, nadając temu wnętrzu barwę akwarium. Przy pianinie chiński chłopak brząka Chopina, czeka widocznie na kogoś, nudzi się, płaszcz i palto rzucił na oparcie fotela. Spokój godzin wczesnego popołudnia, na zewnątrz słońce łagodnej zimy, tutaj przepych w złym smaku, przepych nużący i pospolity, nazywający się po prostu wygodą, nieco zbyt dużą. Jest to zwyczajny hotel, jakich wiele. Dziewczęta wracają z lunchu, patrzą na zegarek, dochodzi druga, czas z powrotem do pracy. W restauracji hotelu klient sam sobie służy: przesuwając tacę po błyszczącym torze, wybiera dania, kasjerka zużywa pół sekundy na obliczenie, ile należy się za to, co nagromadził na tacy. Tak jest najszybciej, dziewczęta jedzą pośpiesznie, mają jeszcze chwilę na spacer przed powrotem do sklepów i maszyn.

Jest wygodnie, rozpoczyna się rok 1947, czy były w ogóle inne lata? Czy ten hotel nie trwał od początku istnienia ziemi? Jak jest właściwie z tą pamięcią? Kiedyś, dawno, bardzo dawno, czytano Prousta. Akwariowe światło i palce Chińczyka na klawiszach zdolne były przywoływać wspomnienia. Smak herbaty, zapach róży kojarzyły się z poprzednio doświadczonymi smakami i zapachami. Dzisiaj nie jestem za pamięcią. Czy coś takiego jak pamięć w ogóle istnieje? Czy też raczej są tylko legendy, wzmówienia, które nazywamy pamięcią? Nie dziwie się, że Sartre ma powodzenie. Czyż nie tworzy on filozofii na użytek ludzi, którzy co sekunda dokonują operacji odrywania się od własnej przeszłości? Sartre mówi, że nie ma pamięci. Człowiek, który opowiada o tym, co widział, co przeżył, opowiada tylko baśń o sobie, w którą uwierzył przez przyzwyczajenie. Jaki może być związek pomiędzy mężczyzną siedzącym w fotelu i tamtym drugim, który mrużył oczy, stojąc przed ceratą gestapowskiego płaszcza, słyszał chrapliwy głos zapytania: „Sind Sie Pole?” i czuł długo palące uderzenie po twarzy? Albo pomiędzy tym, który przechodził hallem, ubrany w brązowy, dwurzędowy garnitur, mundur milionowych mas sprzedawców sklepowych, handlowych agentów i businessmanów i tamtym z krwawych plaż na Tarawa? Wtedy, jeżeli zdejmował na chwilę

* Maszynopis znajduje się w Beinecke Rare Book & Manuscript Library. Poprawiono oczywiste błędy literowe. Pisownię oraz interpunkcję uwspółcześniono. Opublikowano za zgodą The Estate of Czesław Miłosz, c/o The Wylie Agency (UK) Ltd.

hełm i pochylał nad nim głowę, w hełmie zbierała się natychmiast kałuża potu, spływającego z czoła szybkim kapaniem. Tak, na Pacyfiku było gorąco: oto, co zostało.

A jednak nie. Można krzyknąć, że nie ma pamięci, ale jest coś innego niż przechowany kształt i barwa obrazów: jest zarys głęboko wrytych bruzd, jak wtedy, kiedy na zaorywanych dawniej polach wyrosnie las. Już sosny są wysokie, a ciągle jeszcze widać falistość gruntu wywołaną pługiem. Jeżeli ten fotel jest wygodny, jeżeli poruszam się w tym świecie gładko, automatycznie, przyzwyczajony i przystosowany, zmysły moje powinny być przytępione na to otoczenie, tak zwykle i naturalne. Dlaczego to dziwaczne akwarium wydaje mi się sceną ze sztuki, jakbym przyszedł w niej grać z ciemności, gdzie wiatr wykręca drzewa, i miał za chwilę odejść w taką samą ciemność, zakrywając usta łopoczącym szalikiem? Czy pamięć twardych ławek trzeciej klasy, podartych portek, lęku przed wejściem do lepszej restauracji, ucieczek, pożarów, chwil tchórzostw, chwil odwagi, chwil decyzji — nic tu nie ma do roboty? Czy gdybym wyrósł w kraju, gdzie biuralistki i panny sklepowe wstępują w porze posiłku na marmurowe schody i idą po puszystym dywanie, niepotrzebnie naśladowującym wystawność perskich szachów — czy wtedy też to wszystko wydawałoby mi się aktem ze sztuki, na którą najpierw patrzy się z ironią, potem z zainteresowaniem? Hallo, Betsy! Czy Betsy to w ogóle dostrzega? Ten obraz podoba jej się bardziej, ten mniej, ta lampa bardziej, tamta mniej. Ale ja nie o tym myślę. Moje mięśnie są sprężone do skoku, do wewnętrznego skoku, jeżeli kto woli. Nieodmienna amerykańska recepta: „*Relax, just relax*” — chybia. Wewnętrzna zaciekłość, rewolta, sarkazm przepływający aż do końców palców leżących na poręczy fotela. Czego ty chcesz człowieku, no powiedz? Iść, podpałać świat, ryczeć, miotać przekleństwa — zamiast rozluźnić mięśnie i myśli w poobiedniej sjeście?

A swoją drogą nigdy nie widziałem takiego Świętego Mikołaja jak wczoraj w kinie. Boże Narodzenie jest wielkim świętem ludzkiego rodzaju. W Hollywood postanowiono, aby i ryby miały w tym święcie swój udział i aby dostały podarki. Choinka z morskich wodorostów stała na dnie hollywoodzkiego morza. Święty Mikołaj w skafandrze nurka stał na dnie i karmił ryby — wielkie delfiny miały go, chwytając mu z rękawa płaty pokarmu.

Co o tym myśleli zdemobilizowani żołnierze, wracający do rodzinnego kraju z dalekich lądów, gdzie kobieta kosztuje paczkę papierosów, a kolie z pereł kupuje się za kilka kartonów cameli? Zauważyłem u wielu z nich to samo wewnętrzne napięcie, ślepe nieprzystosowanie. Kraj wchłania ich powoli, muszą się go uczyć na nowo. „*Well*, jakby to wyrazić, czy nie myśli pan, że wszystkiego jest tutaj za dużo? To znaczy, chcę powiedzieć, za dużo rzeczy zupełnie do życia niepotrzebnych?”

O tak, mój drogi, rozumiem to doskonale. Wiem, jak mało człowiekowi do życia potrzeba: szklanka mleka i kawałek chleba na śniadanie, jedno danie na obiad, szklanka mleka i kawałek chleba na kolację, krzesło, łóżko, stół — i koniec z dobrami ziemskimi. Pomyślność twego kraju, mój chłopcze, polega jednak właśnie na produkowaniu rzeczy zupełnie do życia niepotrzebnych: setek drobnych maszynek ułatwiających codzienne sprawy, błyskotek, wabików, kapeluszy z piórami, dziwacznych pantofli, sweterków, blaszek, ozdób, sprzączek, niezliczonych odcieni pomadek do ust, krawatów w rajskie ptaki, kryminalnych filmów, helikopterów. Dużo, tanio i błyszcząco — aby Betsy miała ciągłą pokusę kupowania nowych pantofli, nowych kapeluszy i aby obracało się bez ustanku koło popytu — sprzedaż. Jak wykreślić różnicę pomiędzy tym, co potrzebne, a co niepotrzebne? Jak wykreślić tę granicę? Popyt i sprzedaż są źródłem potęgi kraju. Gdyby dla celów handlowych nie ulepszano wciąż typu samochodów, okrętów i samolotów, nie byłibyście zdolni stać się powietrzno-morskim mocarstwem,

kto wie, może nie wynaleźlibyście bomby atomowej. Nie buntuj się więc przeciwko sklepowi, który sprzedaje elektryczne maszynki do golenia, choć można doskonale golić się zwyczajną: on to jest zwiastunem podróży na Księżyc i na Marsa. Mógłbyś co prawda zażądać, aby zamiast produkować elektryczne pralnie, albo Buicka 1946, 1947, 1948 itd. zatrzymać się, dajmy na to, na Fordzie 1939 i wytworzyć miliony takich Fordów dla Chińczyków, Hindusów czy Polaków. Ale Chińczycy, Hindusi czy Polacy są biedni i nie mogliby za to zapłacić. Tak więc twój kraj rozwija się pionowo, jak drapacze chmur, do kresu równowagi.

Więc żyję w tym gładko naoliwionym kraju, szczerzę zęby w uśmiechu, klepiemy się po plecach i wszystko jest bardzo dobrze. Ale jak właściwie wyglądają te moje stosunki z nimi? Przyjaźnie? Nie, nie jest to kraj do przyjaźni. To, co mówi się o amerykańskiej bezpośredniości i łatwości współżycia, jest błagą. Jest to królestwo wypracowanego i pilnie przestrzegane konwenansu. Uśmiech? Tak. Prostota? Tak. W tym uśmiechu i w tej prostocie jest jednak ceremonial przepisowych zdań, przepisowej postawy. Być może, że ceremonial na dworze chińskich cesarzy był nużący. Nie był on jednak niczym innym niż ten ułatwiony ceremonial zdawkowości. Całe nieszczęście, że od kilku dziesiątków lat my w Europie byliśmy świadkami ginięcia etykiety i konwenansu. Arystokratyczne obyczaje przechodziły w karykaturę, mieszczańskie w potworność, chłopskie ginęły pod naporem miast. Jesteśmy płynni i bez form, pozlepiani z barbarzyńskich nabytków, jak chociażby przyjęte u nas całowanie rąk kobietom. Trzeba mówić o pogodzie, nas korci, aby mówić o filozofii. Trzeba mówić o Ingrid Bergman, nas od razu korci, aby mówić o polityce, przeskakując zdawkowość, krzywdząc konwenans, dając do zrozumienia, że jest on nieważny, że nie ma czasu, że za chwilę świat się skończy.

Nie tylko zresztą to. Ileż razy w oczach moich rozmówców widziałem lęk taki sam, jak kiedy ktoś w towarzystwie zacznie głośno wyrazić, co do którego są wszelkie dane, że okaże się wyrazem nieprzyzwoitości. Uważam siebie za człowieka o poglądach umiarkowanych. Widzę celowość wielu reform społecznych, na wiele innych reform patrzę jak na proces, którego wynik będzie całkowicie prawdopodobnie różny od intencji i wyobrażeń sprawców. Nade wszystko jednak chciałbym oszczędzić ludziom cierpienie i zwycięstwa, osiągnane za zbyt wysoką cenę nie budzą we mnie należytego entuzjazmu. Z tym wszystkim ten przestrach na moje słowa. Jakobin, anarchista i bolszewik — oto jak wyglądam. Ze ściany patrzy fotografia Czang-Kaj-szeka⁴, z własnoręczną dedykacją generalissimusa dla gospodarza domu (przypominam to w wyraźnym związku z Chińczykiem grającym Chopina), a ja mówię rzeczy, które nie są wynikiem żadnego przejścia się doktryną, rzeczy, które wydają mi się zupełnie oczywiste i nagle spostrzegam, że są to rzeczy nieskromne. To nie zależy wcale od moich politycznych sympatii dla tej czy innej partii. To zależy od mego pochodzenia z jednego z krajów Europy, która całkiem mimo woli, siłą wojny, stała się czerwona, nie podejrzewając nieraz do jakiego stopnia jest czerwona w oczach Amerykanów. Jestem Red, jestem Czerwony, jestem z tego kotła, w którym smaży się wszystko od komunistów i socjalistów do katolików z M.R.P.⁵ — a któżby tam zwracał uwagę na nasze odcienie czerwo-

⁴ Czang Kaj-szek (1887–1975), przywódca Chińskiej Partii Narodowej, od 1928 r. naczelny wódz Republiki Chińskiej, antykomunista, polityczny przeciwnik Mao Zedonga.

⁵ Mouvement Républicain Populaire (Ludowy Ruch Republikański), radykalna w zakresie reform społecznych francuska partia chrześcijańsko-demokratyczna powstała w roku 1944 pod przywództwem Georges'a Bidaulta i Roberta Schumana, po wojnie współpracowała z komunistami i socjalistami.

ności. Mój język o tym świadczy, jakaś podejrzana skłonność do hopków historycznej dialektyki, a nade wszystko brak okrągłości frazesu, niezmiennego tutaj od czasów Lincolna.

Przypuśćmy jednak, że tak jest. No to co? Bierzcie nas takich, jakimi jesteśmy, a jeżeli zgorzenie z powodu przełamania konwenansu nie sięga skandalu, może przyłączyć się rozkoszny dreszczyk, który nieprzyzwoitościom towarzyszy. Ba! Ale tu zdarza się coś gorszego moi złoci. Coś znacznie gorszego, co właściwie leży u podstawy wszystkich nieporozumień. Oto okazuje się, że mamy dwa najzupełniej różne gatunki wyobraźni.

My zza oceanu przywozimy ze sobą wyobraźnię gwałtowną, rozbestwioną i, bądźmy szczerzy, cyniczną. Po prostu wprawa. Gotowi jesteśmy podejść do pani domu i powiedzieć: „śmiejmy się, kto wie, czy ten dom potrwa trzy tygodnie”, podczas gdy powszechnie wiadomo, że domy, porcelanowe serwisy, obrazy w złożonych ramach trwają wieczność. Lepiej już byłoby spuścić spodnie i w kalesonach zacząć skakać po pokoju, niż opierać rozmowę na złowrogim założeniu, że państwa, systemy, domy i serwisy płyną huczącą rzeką, na której są skały Niagary. W tym języku względności jest diabelska przewrotność, paradoks, obraza, jest gorszy niż wypowiedzenie opinii choćby nieprzyjemnej. Jeżeli człowiek, który ze szklanką *whisky and soda* pochyla się nad tacą mięsiwa, jest, jak twierdzą, jednym z Czerwonych, to dlaczego w tym, co mówi, jest zuchwale i obrażająco obiektywny, dlaczego nie kłamie, dlaczego nie dzieli zjawisk, państw, systemów na czarne i białe, a w jego sarkazmie ukazuje się obraz świata pełen greckiego fatalizmu? Dlaczego ceni tych samych pisarzy, co ludzie cywilizowani i wyrafinowani, dlaczego chce, aby w jego kraju było jak najwięcej amerykańskich książek, dlaczego opowiada z uśmiechem przerażające opowieści? Jeżeli jest Red, to powinien bojaźliwie mówić to, co mu kazała Moskwa, powinien wielbić tylko to, co rosyjskie, a resztę sztukować nudnymi komunalami, jak to robią amerykańscy czerwoni. Och, dajcie nam spokój z tymi Europejczykami. Ból głowy, chaos w umyśle, zmącenie jasnej i ustalonej klasyfikacji — oto, co z obcowania z nimi wynika. Ich wyobraźnia nie zna żadnych hamulców, ich język jest językiem kazuistów.

Nie, nie ma między nami porozumienia. Oni się po prostu nas boją. Przez ostatnie sto lat wszystko, co było w Ameryce intelektualne, zaczepiało się o Europę. I dotychczas, mimo wysiłków przeciwstawiania się tym wpływom, trwa urok i z urokiem tym połączony strach. Rozbite domy, tłumy głodnych, wyciągających rękę przy kuchni polowej, podrzynanie sobie gardel, marksizm, egzystencjalizm, cóż za piekielna magma, z której nic ale to nic nie można zrozumieć. Idzie stamtąd *memento mori* dla wszystkiego, co ustalone, określone, podzielone na szufladki. Życie pozatowarzyskie wkracza nagle w życie towarzyskie niby życie pozagrobowe. Nie można ufać cudzoziemcom, wychylającym głowę z uśmiechem z czeluści wulkanu.

Nie przełamie się tej przezroczystej ściany, szkoda się trudzić. Nawet gdyby nie było wojny, a cóż dopiero po takiej wojnie. Pewnie, znajdą się nieliczni, sfrancuziali Amerykanie, którzy mogą za nami przepadać. Ale to są wyjątki. Jesteśmy inni i trzeba się z tym pogodzić.

Powoli, powoli. Ciekawe byłoby stwierdzić, ile samozałgania zawiera się w tym zdanku, że jesteśmy inni, i niezrozumienia. Sartre (co u licha z tym Sartre'em) uważa, że ludzie zostają antysemitami tylko dlatego, że przezwyciężą to ich poczucie własnej pustki. Mogąc oskarżać o wszelkie zło mitycznego Żyda, odnajdują namiętność, na którą ich poza tym nie stać. Antysemityzm jest wytworem warunków, które domagają się silnych namiętności: gdyby antysemita nie został antysemitą, pękłby pod naporem świata jak purchawka, gdyż w jego sercu brak poza tym silnych uczuć, zdolnych spro-

stać ciśnieniu. Czy ja, siedząc w tym miękkim fotelu, w otoczeniu, które powstało bez mego najmniejszego udziału, tak że mogłoby mnie z całym moim poczuciem własnej ważności nie być, a te dywany, kwiaty, neony istniałyby — czy ja, podkreślając swoją inność, nie postępuję podobnie? Czy nie racjonalizuję po prostu mego skurczu mięśni, mego niepokoju, mego stanu numer zero, jednym słowem, czy nie próbuję się wobec siebie samego odkuć, samego siebie trochę uromantyczyć?

Należy przypomnieć, że moja narodowość szczególnie mnie do tego usposabia. Trudno o fałszywszy stosunek do zagranicy niż w Polsce. Ludzie albo uwielbiają zagranicę chorobliwie, albo mają do niej programową pogardę, która jest najoczywistszym dowodem, że tam wewnątrz u nich jest coś nie w porządku i że chcą zatrzeć jakieś ślady. Zobaczcie jednak jednych i drugich zagranicą, niezależnie od pochodzenia, poziomu wiedzy, koloru oczu i rodzaju ubrania. Cóż za wyděcie ust! Cóż za wzgardliwość! Lotnicy polscy, którzy znaleźli się w Anglii podczas wojny, oburzyli się, kiedy chciano ich nauczyć operowania wysuwającym podwoziem. „Cóż to Anglicy, te ciamajdy, będą nas uczyć? Sami lepiej wiemy”. Po czym w pierwszym locie próbnym wylądowali na burzanach, łamiąc samolotom skrzydła, a sobie kości. Przypomina to zresztą anegdotę o pijanym jegomościu, który przechodząc nad rzeką, zobaczył nurkujących chłopców. „Jak skaczeście fajtlapy! — ryknął do nich. — Ja pokażę, jak się nurkuje! Skoczył, a chłopcy zatrzymali oddech. Cóż za znakomity nurek! Tak długo pod wodą! Minęła minuta, minęło pięć minut, chłopcy podnieśli wrzask. Nigdy już nie wypłynął”.

Facet, który przez całe życie mieszkał w Skierniewicach, gdzie (pokłon wam ojcowie tego miasta, nie wasza to wina) jedna łazienka wypada prawdopodobnie na pięć tysięcy mieszkańców, kiedy znajdzie się w krajach, gdzie po dwie łazienki wypadają na jedną rodzinę, krzywi usta w grymas niesmaku. „Phi, czysto materialna cywilizacja. Duszy, panie, nie ma. A Niemcy w 1939 mieli tekturowe, o tak, tekturowe czołgi...”

Więc to mi właśnie grozi. Pewnie, Europa cierpiała i cierpi, a Ameryka nie. „Dojrżeli przez cierpienie”... Pewnie, ale to nie jest powód do wyższości. To nieprawda, że my jesteśmy skomplikowani, a Amerykanie nie. Są skomplikowani w inny sposób, ukryci poza konwenansami łatwości i zdawkowości ludzkich stosunków, który jest ich siłą, a jeżeli one nas bawią, to wytwórzmy nowe, bo tak tylko rosną silne społeczeństwa. A zresztą ten konwenans w zewnętrznych rzeczach nie jest znowu tak zły. Jeżeli przy ladzie *drug store*'u nie mogę odróżnić robotnika od ministra, bo mają takie same ubrania, takie same kapelusze, jedzą to samo i zachowują się w identyczny sposób, to nie jest to aż tak bardzo niewychowawcze, zwłaszcza dla krajów, gdzie zwykle minister różni się od robotnika jak ptak od ryby.

I oni umieją. To bardzo ważne coś umieć. Wrzasnąć „ja skoczę lepiej”, skoczyć i nie wypłynąć to żadna sztuka. Oni budowali te swoje koleje, walczyli z karabinów do Indian, dźgając się nożami między sobą, nasyłając nawzajem na siebie bandy opryszków, którzy niszczyli tory konkurentom, ale budowali i zbudowali. Oni tworzyli swój największy na świecie przemysł, mając do rozporządzenia ręce mężczyzn i kobiet, płynących wielką falą z ubogich krajów Europy, i siły tych biednych ludzi z Polski, Węgier, z Czech, z Italii, przekształcili się w stal dźwigów, w naftowe cysterny, w żelbeton drapaczy, ale dzieci tych emigrantów przeszły przez szkoły publiczne, które ociosują przyszłego ministra i robotnika na ten sam wzór. Oni też dokonali cudu: wynaleźli naród międzynarodowy, *melting pot* ras i obyczajów, i jeżeli ktoś wspomina o wypadkach linczowania Murzynów, niech czyni to z odpowiednią pokorą, aby nie powiedzieć, że widzi żdźbło w oku swego bliźniego, a w swoim oku belki nie dostrzega.

Tak, jest to kraj, gdzie życie jest twarde, dolary nie rosną na drzewach, człowiek bez pieniędzy znaczy mało. Ale Roosevelt zostawił w spadku taką stopę życiową robotnika, jaką poszczycić się może niewiele krajów, a potężnym związkom zawodowym nikt już nie zamknie ust. Kiedy wybuchła wojna, wznosili fabryki broni, ale jednocześnie żłobki i ogrody zabawy dla dzieci, aby matka i ojciec, budujący samoloty, które miały bombardować Berlin, mogli być spokojni, że ich dzieci są nakarmione, dopatrzone i wesołe. Kiedy ich żołnierz powraca z Niemiec, z Japonii czy z Nowej Gwinei, może iść do szkoły i uniwersytetu na koszt państwa. I rocznie sprzedaje się tutaj 225 milionów egzemplarzy książek, czyli przeciętnie po dwie książki na obywatela, a w tej liczbie tylko ok. 30% powieści. I w tym kraju nie znają meldunków, nikt nie nosi ze sobą dokumentów.

To prawda, odznaczają się brakiem wyobraźni politycznej i w ogóle z ich wyobraźnią, poza wyobraźnią techniczną, jest nietęgo. Ich optymizm jest szaleńczy, powolność na to, co dzieje się poza Ameryką i w Ameryce, zdumiewająca. Tylko kiedy mają nóż na gardle, jak na przykład w czasie wielkiego kryzysu, odchodzą od swoich przyzwyczajzeń, godzą się, że trzeba jednak coś zrobić, ale kiedy nastają lata tłuste, wszystkie zamiary idą w zapomnienie. Historia nie ma dla nich żadnych skał Niagary. Potrafią mówić o możliwości nowego kryzysu, jakby to ich nie dotyczyło, odkładając zmartwienia na potem, pewni swego daru improwizacji, przekonani, że we właściwym momencie zjawiają się zawsze właściwi ludzie i że jeżeli zechcą, nie ma celu, którego by nie potrafili osiągnąć, że zawsze będzie się powtarzać sytuacja z lat 1941–1946, gdy z państwa rozbrojonego przekształcili się w mocarstwo, produkujące rocznie 150 tysięcy samolotów. Czy zawsze wyobraźnia jest użyteczna? My już od 1930 roku dygotaliśmy, roztaczaliśmy apokaliptyczne wizje tego, co miało nadejść. Dużo to nam pomogło.

Tak studzę swoje chętki do zbyt pospiesznych uogólnień. W oczach, które spotyka mój wzrok, dostrzegam mało ciepła. Przepisowa uprzejmość ułatwia obcowanie, nikt mi nie da do zrozumienia, że jestem tylko *lousy European*, wszawy Europejczyk, ale uprzejmość to czasem za mało, nawet gdy z tej uprzejmości wynika pomoc, współpraca czy życzliwość. Ale czy ciepło i intymność ludzkich związków nie potrzebują, aby się rozwinąć, zaprawy nieszczęścia? W tych oczach widzę mało ciepła, ale i mało rozpacz. Gatunek ludzki, jeżeli wie mu się dobrze, jest skłonny żyć poza miłością i nienawiścią, bez silnych wzruszeń, hodując dzieci, chodząc do kina, rozwiązując krzyżówki i czytając detektywne powieści. Zważmy, że ten tutaj gatunek ludzi może być zapowiedzią przyszłości całego ludzkiego rodzaju. Nie wiem, ile lat upłynie, zanim Europa dojdzie do poziomu amerykańskiej cywilizacji. Pięćdziesiąt? Sto? „Nim zdąży wielka rzeka z bratniej krwi odkrwawić”... Gdy zatrze się już pamięć o przyjacielach obślinających się pocałunkami nad kieliszkiem, a na drugi dzień piszących nawzajem na siebie donosy, gdy przeminie era fanatyzmu drugiej Wielkiej Reformacji, czy nie tacy właśnie ludzie bez wielkich wzruszeń będą zamieszkiwać Rzymy, Budapeszty i Warszawy? A w jakim punkcie znajdzie się wtedy Ameryka? Czy pójdzie dalej, aż do butelkowania dzieci zamiast rodzenia, czy też zapłaci z nadwyżką za swój spokój, poznając na nowo ciepło ludzkiego wzroku i rozpacz, i nienawiść? Niech zgaduje, kto chce.

Spod przymkniętych powiek śledzę leniwie skrawek podłogi. Pięty w nylonowych pończochach na wysokich obcasach (właściwie po co tak odsłaniać piętę, aż stopa kobiety wydaje się bosa, ze sztucznie dodanym obuwiem? To demaskuje przyrodzoną pękatość i niewysmukłość kobiecej nogi). Dziwny, dziwny naród. Dobra rasa ludzka, mieszanina krwi Germanów, Celtów, Słowian, Żydów i Latynów. Bo słowo „rasa” ma sens. Tylko nie taki, jaki nadali mu prostacy Niemcy. Zasadźcie ten sam gatunek kartofli na odpowiednim i nieodpowiednim gruncie. Zobaczycie, że ten sam gatunek wyda

w jednym wypadku małe, pokręcone, podobne do korzeni bulwy, a w drugim bulwy ogromne, białe, dorodne. Tutaj noga się wydłuża, biodra smukleją, wzrost się powiększa i czy poznałby kto, że dziadkami tych ludzi były plemiona krótkonogie, szerkobiodre, wyrosłe wśród niedojadania i ciężkiej walki o istnienie? Co się składa na przemianę ras? Dobry pokarm? Czystość, bezpieczeństwo? Bezpieczeństwo? Są bezpieczni od kuli i od więzienia. Nie są bezpieczni od walki. Dziesięć razy każdy z nich wspina się i upada. „Stracić pracę”, „zbankrutować” to takie kłęski jak dla chłopca polskiego susza i powódź. Cóż wart jesteś, jeżeli sam sobie nie umiesz poradzić? Giń albo zbawiaj się własnymi środkami, na własną odpowiedzialność. Jeżeli masz powodzenie, każdy ci poda rękę i pociągnie wyżej. Jeżeli nie masz, miną cię obojętnie. Czy nie dlatego tylu z nich łąduje w domach obłąkanych i popełnia samobójstwa? Jeżeli to jest raj, to tylko raj silnych, którzy się ostali, raj, w którym nie słychać jęku potępionych, tylko dlatego, że potępieni są nicością tak wielką, iż nie wydają nawet głosu. I nigdzie ich nie ma. Tylko w latach kryzysów zaludniają ulice miast i czekają przed stołówkami.

Myślałem o wyobraźni. Jakież jest ten ich rodzaj wyobraźni? Jest to wyobraźnia o, nazwijmy to tak, liniach opływowych, wymijająca, nie ostra. Zjawiska tego świata, zanim się w niej ułożą, tracą swoje kanciaste kontury i wyparowuje z nich ludzka namiętność. Dzieci w szkołach prowadzą publiczne dyskusje o Narodach Zjednoczonych, o rozbrojeniu, o bombie atomowej — i świat im się układa w formy racjonalne, w *pro* i *contra*, w przedmiot spokojnego rozumowania. Ale widziałem w „Newsach” rajd policji włoskiej rekwirującej zboże pochodzące z czarnego rynku w jakiejś włoskiej wiosce. Czarni, obdarcy mężczyźni, kobiety w postrzępionych szalach — wszystko to gestykulowało, skakało sobie do oczu, miotało, sądząc z wyrazu twarzy, najgorsze przekleństwa. Było to śmieszne. Tyle hałasu o kilka worków zboża? Te kilka worków zboża sprawia jednak, że spokojna dyskusja o świecie jest dla tamtych ludzi niedostępna. Kilka worków zboża jest namiętnością nagą, nieociosaną, nieprzefiltrowaną. Dziecko, które wygłasza w amerykańskiej szkole referat o Narodach Zjednoczonych, jest, powiedzmy, synem kolejowego maszynisty. Jego ojciec zarabia miesięcznie 600 dolarów — i dziecko mówi rozważnie o organizacji kuli ziemskiej, nie mając przed oczyma obrazu, że włoski maszynista zarabia dolarów 80, licząc po oficjalnym kursie, co oczywiście stanowi drobną część tej sumy po kursie czarnego rynku, a gestykujący chłopcy żyją za 5 czy 10 dolarów miesięcznie. Wyobraźnia ostra budzi się prawdopodobnie dopiero wtedy, kiedy człowiek przez pół roku zbiera na kupno bucików. I jest to bardzo zły gatunek wyobraźni — powiedzą Amerykanie.

Czy tylko to decyduje o rodzaju wyobraźni? Sartre. Nie, nie jestem egzystencjalistą. Rozumiem jednak pesymizm religijny Zdziechowskiego, monadologię Stanisława Ignacego Witkiewicza, i zbliżoną właściwie do niej filozofię Sartre’a. Wszystko, co wywodzi się z rozpacz, jest naszą specjalnością. Czy można wstawić do Ewangelii: „Błogosławieni rozpaczający?”. Jedno jest pewne, że rozpacz przywiązuje i jest fundamentem ojczyzny nie gorszym niż radość.

Zobaczcie jednak europejskich pesymistów przeflancowanych na amerykański grunt. Jakże im przytną rogów, jak oswoją, jak ich pozbawią zadka! Biedny Freud, złośliwy demaskator ludzkiej natury, zamieni się w coś w rodzaju podręcznika higieny — pięć minut dla zdrowia i zwariowane baby będą latać do freudystów jak do spowiedników, płacąc słone pieniądze. O, dadzą rady i Kierkegaardowi, i Sartre’owi, czyniąc z nich gimnastykę rumianych gentelmanów!

Nie mają słuszności ci nasi pisarze, którzy dzielą dorobek Europy na zgniliznę i zdrowie, niepomi na to, że był taki jeden, który to próbował i nie bardzo mu się to udało. Nasza zgnilizna — jeżeli już używać tego słowa — jest naszym zdrowiem. Bak-

terie naszej wyobraźni dostawały już takie dawki penicyliny, że stały się harde, odporne, przedsiębiorcze i zmuszają lekarzy do ciągłego umysłowego wysiłku. Tu już nie pomoże penicylina łatwego optymizmu. Trudne przewyciężenia, zawile drogi — a ci, których czasem nazywa się zgniłkami, mogą spać spokojnie: do nich należy odwet, bo nie idzie się dalej bez przewyciężania poprzedników, a przewyciężenie znaczy zmierzanie się, a zmierzanie się znaczy coraz większą subtelność narzędzi. Ta zgnilizna, czy też to, z czego ona wynika, ten brak równowagi — to jest twarde krzesło, z prętami, które kłują w siedzenie. Delikwent wierci się — ale podejrzewam, że tylko tam powstaje coś, co naprawdę jest w życiu czegoś warte.

A wreszcie to pytanie: czy oni są szczęśliwi? Otwarcie mówię: nie wiem. Nie podejmuję się określać, co to znaczy szczęście. Nieszczęście — wiadomo co jest. Ale szczęście? Czy jest to brak gwałtownych cierpień, czy też, a to już coś grubo innego, świadomość, że jest się wolnym od cierpień? Pewnie nie są wcale bardziej szczęśliwi od reszty ludzkości. A jeżeli są z tego tylko to powodu, że jako moi sąsiedzi, w domu, w którym mieszkam, kłębią się, grają radio cały dzień, rechoczą, smażą, wonieją, jednym słowem cieszą się życiem w sposób bezładny i nieprzytomny — to diabli mnie to tego. I w ogóle diabli mnie do tego fotela, w którym jest tak międkko.

[Podał do druku i opracował Paweł Bem]

LITERATURA

- A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011;
J. Giedroyc, C. Miłosz, *Listy 1952–1963*, oprac. M. Kornat, Warszawa 2008;
J. Iwaszkiewicz, C. Miłosz, *Portret podwójny*, oprac. R. Papiński, red. B. Toruńczyk, Warszawa 2011;
K. Jakubiak, *Oszustwo przekładu. Czesław Miłosz i „negro spirituals”*, Przekładaniec 2011 nr 25;
A. Janta, *Nowe odkrycie Ameryki*, Paryż 1973;
J. Jarzębski, *Obrazy Ameryki w „Świetle dziennym” Czesława Miłosza*, Ruch Literacki 2012 z. 3 (12);
E. Kołodziejczyk, *Amerykańskie abecadło Czesława Miłosza*, Przekładaniec 2011 nr 25;
—, *Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza*, Warszawa 2015;
—, *Czesław Miłosz jako amerykański korespondent prasowy*, Teksty Drugie 2011 nr 5;
—, *„Światłoienne” i doświadczenie amerykańskie Czesława Miłosza*, Acta Universitatis Lodzianensis. Folia Litteraria Polonica 2012 nr 4 (18);
Z. Łapiński, *Miłosz „zaraz po wojnie”*, Teksty Drugie 2001, nr 3–4;
C. Miłosz, *Abstrakcja i poszukiwania*, Odrodzenie 1947, nr 7;
—, *Książki i pisma w Stanach Zjednoczonych*, „Odrodzenie” 1947, nr 6;
—, *Listy do Karola Kuryluka (1946)*, podali do druku A. Marchewka, J. Błach, przypisy T. Cieślak-Sokołowski, „Nowa Dekada Krakowska” 2011, nr 1–2;
—, *Listy do Karola Kuryluka (1947–1948)*, oprac. E. Kołodziejczyk, Nowa Dekada Krakowska 2013 nr 1–2;
—, *„Mój wileński opiekun”. Listy do Manfreda Kridla (1946–1955)*, oprac. A. Karcz, Toruń 2005;
—, *Notatnik*, Nowiny Literackie 1948 nr 8;
—, *Notatnik*, Nowiny Literackie 1948 nr 15;
—, *Notatnik amerykański*, Nowiny Literackie 1948 nr 40;
—, *Notatnik nowojorski*, Przekrój 1946 nr 79;
—, *O Hemingwayu*, Kuźnica 1946 nr 38;
—, *Powody zerwania z PRL. Listy sprzed i po. Do Józefa Wittlina*, [w:] tegoż: *I książki mają swój los*, Zeszyty Literackie 2011 nr specjalny 1;
—, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Paryż 1969;
—, *Wprowadzenie w Amerykanów. Rzecz o poezji amerykańskiej*, Twórczość 1948 nr 5;

—, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami*, Kraków 2007;
J.M. Nowak [C. Miłosz], *Życie w USA*, *Odrodzenie* 1946 nr 51/52; 1947 nr 1, 7, 8, 9, 10, 21, 27, 30, 46, 47, 48;
P. Pietrych, *(Nie)istniejąca książka Miłosza o Ameryce lat czterdziestych*, *Przekładaniec* 2011 nr 25;
Raporty dyplomatyczne Czesława Miłosza 1945–1950, oprac. M. Morzycka-Markowska, Warszawa 2013;
Wańkowicz i Miłosz w świetle korespondencji, podała do druku A. Ziółkowska, *Twórczość* 1981 nr 10;
Żagarysta [C. Miłosz], *Henry Miller czyli dno*, *Odrodzenie* 1948 nr 4.

**INFATUATION AND FEAR
[CZESŁAW MIŁOSZ: MUSINGS IN A HOTEL LOBBY]**

The text is an introduction to an article by Czesław Miłosz, providing a context for its interpretation and discussing the circumstances in which it was created. It concentrates on particularly interesting themes in the poet's press correspondence from the late 1940s, which was found in Czesław Miłosz's archives and is published here for the first time.

KEY WORDS: Czesław Miłosz; Polish post-war journalism; USA in works by Czesław Miłosz; Czesław Miłosz as a press correspondent.